

Balladyna ginie na malinie

„Balladyna” Juliusza Słowackiego w reż. Wojciecha Adamczyka w Teatrze TVP. Píše KLUB w Dzienniku Trybuna.



fot. mat. prasowe

Do swojej inscenizacji „Balladyny” Juliusza Słowackiego, Wojciech Adamczyk wybrał tonację „lugubre”, ponurą, posępną, acz z zauważalną nutą dystansu do tej konwencji, nie stuprocentowo na serio. To bardziej ponurość z gier komputerowych niż z „ciemnego” nurtu romantyzmu.

Faktura barw obrazu jest przyszarzała, jakby posypana popiołem, przymglona. Kolorowej ludowości, która tak często ciążyła na przedstawieniach „Balladyny” (co przełamał dopiero Adam Hanuszkiewicz swoją legendarną „Balladyną” z hondami) nie ma nawet na lekarstwo. Nie ma też ariostyzmu (od Lodovico Ariosto, twórcy „Orlanda szalonego”), czyli swobodnej gry konwencjami, nieprawdopodobieństwem, ironią, choć silne nuty szekspiryzmu się tu wyczuwa. Role od początku rozdane zostały inwersyjnie, na opak. Alina (Paulina Szostak) nie jest wcieleniem łagodności, bezinteresowności i dobroci, krynicą cnót niewieścich, lecz pewną siebie i świadomą swoich atutów współczesną, asertywną i agresywną młodą kobietą. Zaskoczona Balladyna (Katarzyna Ucherska) przegrywa z siostrą pierwszą, „malinową” konfrontację w lesie. Wdowa (Dorota Chotecka) nie jest zahukaną staruszką, lecz dojrzałą kobietą, pragmatyczką, myślącą o dobru córek, także seksualnym. Skierka, Grabiec, Chochlik, nie są zabawnymi, groteskowymi stworkami z komedii buffo czy baśni z „mchu i paproci”. Grają „na poważnie”, a Skierka w wykonaniu Sławomira Grzymkowskiego to dorosły,

Używamy plików cookies do celów technicznych i analitycznych.

zazwyczaj, a przy tym jest bardziej męski niż von Kostryn, który nie jest tu, jak zazwyczaj, demonicznym, „groźnym Niemcem”, uosobieniem zła czy odmianą lorda Vadera, lecz mężczyzną delikatnym, wiotkim, na granicy metroseksualności. Bo dziś prawdziwych von Kostrynów już nie ma?

Goplana nie tylko nie jest jest rusałką, baśniową nimfą, panią jeziora z mgły i szuwarów, lecz twardą kobietą współczesną, ekspansywną, także seksualnie i dynamiczną jak menedżerka kreatywna, która zarządza całym tym interesem. W swej drapieżności przebija dynamiczną, ale jednak umowną Goplanę Bożeny Dykiel na hondzie sprzed pół wieku w Narodowym. W tradycji roli mieści się Stanisław Brejdygant jako Pustelnik i to jest jeden z nielicznych w tym przedstawieniu ukłonów reżysera w stronę tradycji inscenizacyjnych „Balladyny”. Krzysztof Gosztyła jako Kanclerz daje koncertowy pokaz pastiszowego stylu grania dygnitarskiego dostojęństwa. Balladyna Ucherskiej nie przypomina szekspirowskiej lady Makbet z jej konsekwencją w dążeniu „po trupach do władzy”. Jest właściwie zagubiona i ta władza dostaje się w jej ręce jakby mimochodem, przez przypadek.



fot. mat. Filmu Polskiego

O „ironicznej tragedii” Słowackiego pisze się zazwyczaj, że to tylko pozornie sztuka o mechanizmach władzy, baśń polityczna. Jest to bowiem raczej „baśń filozoficzna” o przypadku rządzącym naszą egzystencją, o kompletnej nieprzewidywalności losu, o tym, że nasze plany bardzo rzadko się materializują. I tak też odczytał ją reżyser. Owa przypadkowość, absurdalność losu ludzkiego zaakcentowana jest bardzo

dobitnie i spiętrzona do poziomemu nonsensu w scenie „sądu” nad Balladyną i jej śmierci. Bieg zdarzeń, którego logika wydaje się być nieubłagana, zdaje się prowadzić do ostatecznego potępienia i ukarania Balladyny, do ostatecznego uderzenia w nią pioruna „deus ex machina”, zatrzymuje się nagle i niespodziewanie. Zaskakujący zwrot sprawia, że na ustach przerażonej dotąd władczyni, która przed chwilą straciła już nadzieję, pojawia się cyniczny, sardoniczny uśmiech satysfakcji (jak pokątny uśmiech Piszczyka w „Zezowatym szczęściu”), że jej się „upiekło”.

I wtedy pojawia się, niczym Nemezis, Goplana z dzbankiem malin, które „przypadkowo” rozsypują się po posadzce sali zamku w „Gnieźnie” po to, by Balladyna poślizgnęła się na nich jak Michał Aleksandrowicz Berlioz z „Mistrza i Małgorzaty” Michała Bułhakowa na oleju rozlanym nieszczęśliwie przez Annuszkę z ulicy Sadowej i zginęła najgłupszą z możliwych śmierci.

Tonację lugubre tego przedstawienia podkreśla świetna, bardzo sugestywna scenografia. Las przypomina nieco ten germański, z filmowego „Zygfyda”, „Bogów Germanii” czy „Pieśni Nibelungów”, tyle że w mniejszej skali. Wnętrza i meble, z tronem na czele, to stylizowany, uniwersalny „gotycyzm” zmiksowany z estetyką pseudohistorycznej fantasy a la „wiedźmin” oraz współczesnej mody (złota, bajkowa korona z barwnymi klejnotami do „rockowych”, czarnych, skórzanych spodni Balladyny). Całość przeniknięta jest niepokojącą w tonacji muzyką.

Aktorzy stanęli w zasadzie, bo zawsze można się do czegoś przyczepić, na wysokości zadania. Nie ma tu wprawdzie hipnotycznych, charyzmatycznych kreacji, a pewien brak doświadczenia dwóch młodych aktorek (od Aliny i Balladyny) daje się, choć nie nazbyt jaskrawie, zauważyć. W końcu jednak jakie mają być? Skoro są młode, to muszą być trochę sztywne i nieoszlifowane. Brejdygant i Gosztyła jako „arka przymierza między dawnymi a nowymi laty” wnoszą do przedstawienia kunszt i styl starszych pokoleń aktorskich, nawiązując do „starych, dobrych” tradycji grania „Balladyny”.

Można doszukiwać się w tym przedstawieniu wielu innych znaczeń, n.p. zastanawiać się, czy Filon jest tylko figurą fałszywego sentymentalizmu i figurą uczuciowości, która przeszła już do historii, a także zapytać, dlaczego reżyser zrezygnował – co jest dość intrygujące, biorąc pod uwagę historiozoficzne znaczenie tej postaci – z dziejopisa Wawela. Bardzo dawno nie miałem okazji do pochwalenia Teatru Telewizji. I w końcu się udało, bo robotę wziął w swoje ręce i rozdzielił ją między grono utalentowanych twórców prawdziwy profesjonalista w swoim fachu, jakim jest Wojciech Adamczyk.



Tytuł oryginalny
Balladyna ginie na malinie

Źródło:
Dziennik Trybuna nr 3/5 online
Link do źródła

Autor:
KLUB